№ 47. Warszawa, dnia (11) 24 Listopada 1900 roku. Rok XLII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:		Z przesyłką pocztową:	
kwartalnie . . .	rs. 1	kwartalnie . .	rs. 1.25
Za odnoszenie do domu kop. 10.		półrocznie . .	„ 2.50
		rocznie . . .	„ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie: Kwartalnie flor. 1.80. Na prowincyi flor. 2.20. W Poznaniu kwartalnie mr. 3, na prowincyi mr. 3.75. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60, lub walutą zagraniczną podług kursu.

Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Agencya dzienników i inseratów St. Sokołowskiego Pasaż Hausmana l. 9; w Krakowie Księgarnia S. A. Krzyżanowskiego. Agencya główna na Niemcy Księgarnia Świętego Wojciecha w Poznaniu.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce kop. 12 „Nadesłane” wiersz garmontu kop. 50. Ogłoszenia przyjmuje Administracya pisma i wszystkie biura ogłoszeń warszawskie i znaczniejsze zagranicą. Zmiana adresu kop. 15.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Warszawa, Chmielna 26.—Telefon 106.

Andrzej Niemojewski.

Scena z dramatu „Rokita”

ROKITA.

Kto tu był? Woń fijołków czuć w państwie ciemności!
Żali anioł świetlisty między nami gości,
I z kwiatów swego serca tę cudną woń sieje?
Woń niewinności, mgliste obudza nadzieje,
O jakichś lepszych światach, gdzie promyk pociechy
Padając na twarz, słodkie maluje uśmiechy,
Gdzie radość złotym blaskiem lica opromienia.
Słyszałem tam, głęboko tajemne westchnienia,
Z najmroczniejszej otchłani sunę za tą wonią,
Za temi westchnieniami... Mrok rozgarniam dłonią...
Szukam... Woń tę pamiętam. Gdziem poznał? Nie [pomnę...
Lecz to wiem, że tam słońce płonęło ogromne,
I że dotąd tęsknota za niem łono pali...
Idźmy, szukajmy z mroku w pomrok, dalej, dalej!
Gdzieś muszą się rozstąpić gór ciemne wierzchołki...
Woń czuć, woń! To fijołki, urocze fijołki! —

ZŁY.

Ty nie marz o fijołkach śród nocy wieczystej!
Tu gór ogromy wichrów owiały poświsty,
Tu gad sycząc, w kłąb zwity, łeb chyli przez cienie,
I lepką piersią mokre owija kamienie,
Tu grzyb powleka ściany, tylko chłód żałosny
Ściska pierś... Nie dla ciebie słoneczny żar wiosny!

ROKITA.

Wiosny?... Czekaj, ach, niegdyś słyszałem to słowo...
Co to jest wiosna?... Żali nie była królową?
Lecz gdzie jej państwo?... Nie, nie...
Jako małe dziecię
Miałem sen... Śniłem słońce i maluchne kwiecie,
Mniejsze od słońca, ale promienie swej woni
Rozsyłało, jak słońce, wszędzie... Tu na dłoni
Dzierżyłem kwiatek...
Nagle wszystko pociemniało,
Sto wichrów zaszumiało, sto gromów zagrzmiało
I sklepienie pierś tłoczy ciemności mogiłą...
Kiedy to było?... Czekaj—czy to kiedy było?

ZŁY.

Rokita!

ROKITA.

Co? Pokażesz mi wiosnę?

ZŁY.

Rokita!
Serce twe ciągle szuka, myśl twoja wciąż pyta,
Ty nigdy nie przystaniesz do nas, synów mroku!

ROKITA.

Długo trzeba iść do niej? Mam jej obraz w oku,
Tylko powiedz: którędy?

ZŁY.

Pójdź no tu, synusiu,
Popatrz tam.. trochę wyżej.. ną prawo, chłopusiu..
Słabiuchny punkcik błyszczy... Widzisz?

ROKITA.

Plamka złota...
Ledwo błyszczy... niekiedy żywiej zamigota...

ZŁY.

Widzisz?... Patrz — to jest — ziemia!

ROKITA.

Ziemia??

ZŁY.

Tak — to ziemia...
Teraz sunący obłok nieco ją zaciemia ..
Nie—rozjaśnia się...

ROKITA.

Czy to — tam—bardzo daleko?

ZŁY.

Jak oko mgły leciutkiej zasnute powieką
Widnieje ziemia, na niej fijołki i róże
I czeremchy i słońce gorejące w górze...

ROKITA.

Jak sen, jak sen uroczy!

ZŁY.

Ażali wiesz, dziecię,
Skąd ty jesteś?... Ty – ztamtąd!

ROKITA.

Ja — ztamtąd?? Ja byłem
Śród fijołków, czeremchy, tam, w słonecznym świe- [cie —
I nie jestem?? I w mroki tutejsze zbłądziłem??

ZŁY.

Ty—tam—byłeś!...
Lecz to już przepadło, przepadło!
Pozostało gdzieś na dnie pamięci widziadło,
Z każdą chwilą cień nowy wspomnienie to grzebie—
Maj, wiosna—nie, nie, nie, nie! To już nie dla ciebie!
Nawet tobie nie wolno wiedzieć, że tam byłeś!
Zapomnij, żeś to stracił, że za tem tęskniłeś...
Nie, nie, nie! Próżna żałość. Czcze są to wyrazy!...
Pochyl głowę na siwe, mchem obrosłe głazy
I śpij!...
Stara legenda nam szatanom baje,
Że każdy z nas miał kiedyś jakieś wiosny, maje...
Lecz to przeszło i tego niema, niema, niema...
Popatrz dokoła: niema, niema, niema, niema!..
Tak niema, że już nikt z nas legendzie nie wierzy,
Aby to kiedyś było!

ROKITA.

Czy śród tych rubieży
Przykuty łańcuchami do skały, ty może
Pamiętasz, przypominasz, że tam, tam w przestwo- [rze...

ZŁY.

Nie pytaj... Poco pytać?? Tego niema, niema...
Nigdy w przestwór ślepemi nie sięgam oczyma!
Odkąd mrok głowy osnuł, odkąd chłód w nas wieje,
Odkąd przyszło utracić ostatnią—

ROKITA.

Nadzieję??

ZŁY.

Ja nie znam tego słowa, to jest ludzkie słowo!
Gdyby tu kiedyś gromu ozwało się mową,
Rozpękłyby niebiosa, i świateł potoki
Zalałyby bezdenne wieczności pomroki?
Nie, nie, nie...
Ale, słuchaj......

Władysław Umiński.

Na szczytach.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Dalszy ciąg).

IX.

Zera i cyfry.

Ogród, leżący poza piętrowym, pomalowanym na szaro-żółty kolor domem, mieszczącym zakład d-ra Orbetta, około 11-ej rano zaludniał się kilkudziesięciu postaciami męskiemi, odzianemi w niebieskie koszule, ciemnoszare spodnie i takież marynarki; ta kombinacya barw służyła do odróżnienia chorych umysłowo od zdrowych — lekarzy i gości odwiedzających pacyentów. Poza tem chorzy mało różnili się na pierwszy rzut oka od normalnych. Na ławeczce, przy małym stoliku, siedzi Furini, kreśląc na piasku jakieś formuły chemiczne lekkim pręcikiem; wygląda blady, zgnębiony, ale w oczach błyszczą te same iskry, co przedtem, na czole żłobionem w głębsze zmarszczki, maluje się ta sama myśl, usiłująca się wcielić w wielkie czyny...

Młody uczony, zatopiony w znakach, dosłyszał nagle szmer wpośród przechadzających się pacyentów, i podniósł żywo głowę.

We furtce ogrodowej ukazał się, jak zwykle o tej porze, dr. Orbetto w towarzystwie dwóch posługaczy, i uchylając błyszczącego cylindra, witał kolejno swych pacyentów uściskiem dłoni, zamieniając z nimi po kilka słówek.

— No i cóż słychać?—pytał jakiegoś siwego mężczyznę, który właśnie zastąpił mu drogę.—Jak się pan czuje?

— Czułbym się doskonale, gdybym się mógł z panem rozstać jak najprędzej — odparł pacyent kwaśno — przypominam więc panu, że miałeś mnie wypuścić jeszcze przed tygodniem. Przypuszczam, że słowa należy dotrzymywać. Siedzę tu od dziesięciu lat, a od pięciu obiecujesz mnie pan uwolnić z zakładu.

— Cierpliwości, cierpliwości!—rzekł doktór— no, a pan?—dodał, zwracając się do młodzieńca, siedzącego apatycznie na ławce, pod rozłożystym kasztanem.

— Pytasz pan, czy nie ostygłem? — rzekł młodzieniec z ironicznym uśmiechem. — Nie, kocham ją po dawnemu, a jeżeli stracę naprawdę zdrowe zmysły za parę miesięcy, to tylko dlatego, że ona mnie przestała kochać.

— Pokocha pana, skoro wrócisz do zdrowia, ale pod warunkiem, że znowu nie strzelisz do niej przez zazdrość.

— Strzelę, doktorze, napewno strzelę, i nie chybię, jeżeli nie porzuci swego dawnego sposobu postępowania; możesz jej pan o tem powiedzieć.

— Dobrze, dobrze. Ach, jeszcześ się pan nie przeobraził w zwierzę? — przerwał, ujrzawszy nowego chorego — dlaczegóż pan zwlekasz?

Zagadnięty pacyent leżał na ziemi obok ławki, i żuł trawę zerwaną z gazonu; nie przyjął wyciągniętej dłoni lekarza, mierząc go natomiast spojrzeniem pełnem pogardy.

— Jeszcze nie zjadłem dość trawy, ale poczekaj pan trochę. Nie uwierzysz pan, jak się wstydzę, że jestem człowiekiem... Najwstrętniejsze zwierzę nie popełnia tylu ohydnych występków, co on... Doprawdy, doktorze; znam zwierzęta, obcuję z niemi od dzieciństwa, a żadne nie wyrządziło mi nic złego; tymczasem ludzie... Odbierz im pan rozum, proszę — błagam... przecież to twoja specyalność; wyrządzisz im wielką przysługę. Zważ, że i oni sami przezeń cierpią!..

Obłąkany wstał z ziemi, wypluł przeżutą trawę i chciał uchwycić lekarza za rękę, ale ten odwrócił się szybko.

— Dobrze, dobrze, zrobię, co się da—rzekł uśmiechając się.

Orbetto zmierzał w głąb ogrodu, do ławki, na której siedział Benedetto; właśnie mijał jakiegoś księdza, klęczącego przed krzyżem, zrobionym z dwóch patyczków i zatopionym jakby w głębokiej modlitwie.

— Dzień dobry, ojcze Anzelmie; odprawiliście już pokutę?

Duchowny potrząsnął głową.

— A kiedy skończycie?

— Biada mi, biada!—jęknął ksiądz—7grzeszyłem i zadosyćuczynienia dać nie mogę — cierpię strasznie.

— Jak widzę, znowu zadawałeś sobie, ojcze, męki... masz pokrwawioną twarz i paznogcie; trzeba będzie pomyśleć o kaftanie.

— Rób, co chcesz, człowieku — śmiej się, używaj życia, jeśliś nigdy nie zgrzeszył, jeśli sumienie w tobie milczy...

Duchowny zabierał się do przemowy, ale spostrzegłszy, że go doktór nie słucha, znowu zaczął szeptać modlitwy.

Orbetto musiał się zatrzymać, bo go schwycił za ramię jakiś człowiek, lat około pięćdziesięciu, o sympatycznych rysach twarzy, pokrytej grubą warstwą kurzu.

— Prochem jesteś i w proch się obrócisz— mówił poważnie waryat — jeżeliś zapomniał o tem, jeśli gonisz, walczysz, zdobywasz, to chodź do mnie...

Z temi słowy obłąkany schylił się ku ziemi, podjął garść pyłu i chciał nim pomazać gładkie, różowe oblicze doktora; lecz posługacz, idący obok, odsunął go brutalnem popchnięciem.

— Zjedz go sam!—zawołał.

Otaczający lekarza pacyenci wybuchnęli głośnym śmiechem, obłąkany rzucił piaskiem na nich i zniknął, zawstydzony jakby, pomiędzy drzewami.

— No i cóż, gniewasz się pan jeszcze na mnie?—zagadnął Orbetto, podając Furiniemu dłoń na powitanie.—To niesłusznie, spełniłem tylko swój obowiązek i życzenia pańskiej rodziny... Zanadto zajmowałeś się pan pracą umysłową i wpadłeś w niebezpieczne rozdrażnienie. Ale to minie, i niebawem rozstaniemy się, jak dobrzy przyjaciele. Używaj pan jak najwięcej ruchu na świeżem powietrzu, i nie zaniedbuj zimnych kąpieli...

Benedetto dotąd nie uścisnął ani razu ręki Orbetta, teraz jednak, po krótkiem wahaniu, przywitał się z nim z udaną obojętnością. Zmienił już taktykę; kiedy przed kilku dniami dowiedział się, że go traktują jak pacyenta, zawrzał dzikim gniewem, chciał rzucić się z pięściami na tego nędznika, który udawał jego przyjaciela, aby potem nadużyć zaufania, tego patentowanego, udoktoryzowanego idyotę, ale wnet opamiętał się. Słyszał bowiem rozpaczliwe krzyki waryatów, miotających się bezsilnie w kaftanach bezpieczeństwa, bitych i łżonych przez dozorców. Zrobiwszy więc olbrzymi wysiłek woli, postanowił zachowywać się biernie.

— Tęsknisz pan zapewne za swojem laboratoryum?—mówił dalej doktór, sadowiąc się na ławce obok Furiniego.

— Bynajmniej; pobyt na świeżem powietrzu działa na mnie kojąco po tylu miesiącach, spędzonych nad retortą.

Młody uczony zamilkł, topiąc złośliwo-ironiczne spojrzenie w doktorze.

— Chcesz, żebym rozprawiał z tobą o laboratoryum, o mojej pracy, nędzny filistrze, ażebyś zyskał w moim zapale, oburzeniu, albo wielemówności poparcie swoich idyotycznych przypuszczeń. Robisz jeszcze głupszą minę, niż na codzień, nie możesz się domacać waryata, nieboraku—myślał w duchu.—Trudno, nie zrobię ci i tej przyjemności...

— Miło mi bardzo, że się pan nieźle czujesz tutaj — bąknął Orbetto, zmieszany trochę owem spojrzeniem. Bo czyż nie piękny ogród?! Patrz pan, co za róże w klombie.

— Rzeczywiście zachwycające. Pan lubisz kwiaty, nieprawdaż?

— Oh, bardzo; codziennie poświęcam godzinę na pracę w ogrodzie.

— Sądzę, że byłbyś pan równie dobrym ogrodnikiem, jak lekarzem; kto wie, może nawet lepszym, bo postarałbyś się wyhodować jakieś oryginalne odmiany kwiatów...

— Zapewne, każdy ogrodnik chciałby otrzymać nową odmianę; ja sam od paru lat usiłuję wyhodować niebieską różę, ale nie udaje mi się...

— Niebieską różę?—powtórzył Benedetto — przyznaj pan, że gdyby kwiaty miały coś w rodzaju umysłu, to niebieską różę mógłbyś śmiało nazwać nienormalną.

— Właśnie nienormalność jest pożądaną i poszukiwaną.

— Ale tylko u kwiatów?

— No, nie wyłącznie; hodowcy zwierząt postępują podobnie...

— Kwiat odskakujący od szablonu, zwierzę przedstawiające pewne oryginalne cechy — wszystko to jest pożądane i poszukiwane, ale ludzie...

Benedetto uciął nagle, i zamilkł.

— To dobre!—zawołał Orbetto, wybuchając śmiechem — pan byś chciał stosować jednakową miarę wartości do kwiatów i ludzi.

— Bynajmniej, doktorze. Ale mówmy o czem innem. Masz pan ciekawego pacyenta u siebie...

— Któryż to?

— Ten, co pragnie zamienić się na zwierzę...

— Tak, oryginalna monomania.

— Czuję, że to niedobrze, ale zdaje mi się czasami, że ja go rozumiem—to niedobrze, prawda doktorze? Stan mój widocznie pogarsza się.

— Sypiasz pan?—zagadnął Orbetto po chwili kłopotliwego milczenia.

— Doskonale, odkąd przestałem myśleć.

— A apetyt?

— Wyborny, od czasu jak tu się znajduję.

— Panna Dolce prosiła mnie o pozwolenie odwiedzenia pana tutaj. Czy życzysz sobie tego?

— Obawiam się, że wizyta zrobiłaby na nią zbyt silne wrażenie... niech się wprzód oswoi z faktem, że się tutaj znajduję. Więc chyba później, za kilka dni.

— Dobrze—za tydzień... Do widzenia!

Orbetto wstał, poprawił ruchem pełnym dystynkcyi świeżutki krawat, zakrywający śnieżno-biały gors od koszuli, uchylił błyszczącego cylindra, i oddalił się mierzonym krokiem, nie czując pełnego pogardy spojrzenia, jakiem obrzucił go Furini.

— Jeżeli to się nazywa być normalnym człowiekiem, to słusznie umieszczono mnie pomiędzy waryatami—pomyślał młody uczony.

Zaledwie Orbetto odszedł, gdy jeden z pacyentów zbliżył się do Benedetta.

— Pozwoli pan, że się przedstawię — rzekł, kłaniając się—od tygodnia pragnąłem z panem pomówić, ale jakoś nie miałem śmiałości. Zważywszy wszelako, że w zakładzie doktora Orbetto formy towarzyskie nie są zbytecznie przestrzegane, zabierzmy znajomość, jak ludzie, których one nie obowiazują. Nazywam się Franciszek z pod 18 go numeru; nazwisko jeszcze pamiętam, ale dla pensyonarzy tutejszych dodatek to zbyteczny; zbrodniarze, pozbawieni praw stanu i my, nie potrzebujemy tego, nieprawdaż? Pragnąłbym nawet zapomnieć zupełnie o niem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Program jubileuszu Sienkiewicza.

Z gorączkowem zaciekawieniem dopytują wszyscy o jubileusz pisarza, którego sława rozeszła się tak szeroko po świecie, którego zasługi dla naszego społeczeństwa przyszłość dopiero należycie ocenić potrafi.

By zaspokoić ciekawość czytelników, podajemy tu za innemi pismami szkic Sienkiewiczowskiej uroczystości.

Odbędzie się ona podobno bez tradycyonalnej uczty, toastów, rautów, mów i upominków.

Rozpocznie ją d. 22 grudnia uroczyste nabożeństwo w kościele Świętokrzyskim, celebrowane przez ks. biskupa Ruszkiewicza, prezesa komitetu jubileuszowego. Z kościoła uda się Sienkiewicz do sali ratuszowej, gdzie komitet wręczy mu publicznie akt własności Oblęgorka, jako zbiorowego daru od wielbicieli jego talentu i ducha.

Do aktu darowizny dołączone będzie album z podpisami wszystkich ofiarodawców. Album to składa się z kilku sporych tomów—oprawa w staroświeckim stylu.

Napisania aktu na pergaminie podjął się dr. Peszke, niepospolity w naśladowaniu średniowiecznej kaligrafii specyalista.

Wieczorem odbędzie się uroczyste przedstawienie w teatrze Wielkim. Przedstawienie rozpocznie „Pieśń dożynkowa“ Maszyńskiego, wykonana pod kierownictwem autora, przez chór „Lutni“ warszawskiej.

Numer drugi programu wypełni utwór Sienkiewicza, jednoaktowa komedya, pełna staropolskiego humoru p. t. „Swaty pana Zagłoby.“

Podobno w kilku dniach wykończył autor „Potopu“ artystyczny ten obrazek, i pokaże publiczności na scenie tyle razy przez nią oczyma wyobraźni widzianą postać—wcielenie wszystkich polskich wad i cnót niektórych i polskiego humoru.

Rolę Zagłoby obejmie p. Frenkiel.

„Swaty“ odegrane będą raz tylko na przedstawieniu jubileuszowem, a drugi raz przez amatorów, na korzyść domu zajęć dla chłopców, założonego przez ks. Siemca. Jednocześnie najnowszy utwór Sienkiewicza wystawiony będzie na scenie lwowskiej i krakowskiej.

Autor zamierza z tego samego tematu wysnuć powieść, którą pomieści w „Biesiadzie Literackiej“; potem dopiero pozwoli komedyę swą włączyć do stałego repertuaru sceny warszawskiej.

W trzeciej części widowiska ujrzeć mamy żywe obrazy, ilustrujące najważniejsze działy twórczości Sienkiewicza. Będziemy mieli tedy ilustracye do „Pójdźmy za nim,“ „Za chlebem,“ „Quo vadis,“ „Trylogii“ i „Krzyżaków;“ na zakończenie zaś „Apoteozę“ pomysłu i układu p. Eysmonta.

Pomiędzy jednym obrazem, a drugim usłyszymy deklamacyę stosownych utworów poetyckich, o których napisanie zwrócono się do najznakomitszych przedstawicieli poezyi naszej.

Nie wątpimy, że do tego z góry ułożonego programu niejedno jeszcze doda entuzyazm chwili—i to będzie najpiękniejsze.

Czysty dochód z przedstawienia przeznaczył komitet na fundacyę imienia Sienkiewicza, która utworzy kapitał wsparć dla wdów i sierot po literatach przy warszawskiej Kasie literackiej.

Dodawać nie potrzeba chyba, że dziś już ubiegają się ludzie o bilety wstępu na owe uroczystości jubileuszowe.

Więcej sumienności!

(Dokończenie).

Publiczność, załatwiająca sprawunki w sklepach wyrobiła sobie pewien tryb postępowania, którego nie można nazwać ani miłym, ani też zasługującym na pochwałę. Nie dowierza ona sprzedającemu, ponieważ wie, że czasem przypłaca zaufanie własną kieszenią—lecz często bardzo przesadza, popadając w drugą ostateczność. Ktoś, wchodząc do sklepu, gdzie ceny nie są stałe, targuje się nie raz do upadłego, ofiarowuje połowę żądanej ceny, nie zwracając uwagi na gatunek towaru; wogóle jesteśmy tak dalece przyzwyczajeni do ustępstw ze strony handlujących, że czasem dlatego tylko nie kupimy danego przedmiotu, że nie chciano nic opuścić.

Firma szanująca się znajduje się więc w położeniu trudnem; nawet wywieszenie w sklepie napisu „prix fixe“ nie zawsze zabezpiecza od nieprzyjemnego targowania się.

Byłoby jednak pożądanem, aby pp. handlujący raz położyli koniec takiemu stanowi rzeczy, naznaczając ceny uczciwe a stałe.

Jeszcze większą plagą dla kupców są osoby mające za dużo czasu, a za mało pieniędzy. Jakaś dama pragnie kupić, dajmy na to, łokieć wstążki, materyał na suknię, albo kapelusz; urządza więc istną wędrówkę po sklepach, kręci nosem na wszystko, nie zdając sobie sprawy z tego, czego potrzebuje, każe sobie pokazywać całe góry materyałów, sto kapeluszy i t. p., a kiedy po dwóch godzinach znalazła coś konweniującego, rozpoczyna targ, ofiarując niemożliwą do przyjęcia cenę.

Taka osoba nie zastanawia się, że pokazywanie materyałów niszczy je, że zabrała parę godzin czasu subjektom, znużyła ich, i po co? Ot, często tak sobie, dla spędzenia czasu—oglądanie i wybieranie fatałaszków sprawia jej przyjemność, nic ją nie obchodzi, że jakiś tam kupiec narzeka na nią, że mu przewróciła sklep do góry nogami.

Gorsze są jeszcze panie, biegające po sklepach nawet bez zamiaru zrobienia jakiegokolwiek sprawunku, urządzając sobie z tego zajęcia rodzaj *sportu*, bo jakże nazwać podobną przyjemność. Niestety, osoby tej kategoryi nie należą do rzadkości, szczególniej w Warszawie, gdzie dużo ładnych sklepów.

Dowodzi to przedewszystkiem, że nie znają one wartości czasu ani własnego, ani cudzego, tego największego dobra na świecie — dobra, które praktyczny Anglik, lub Amerykanin szacuje na równi ze złotem.

Jeżeli ktoś pragnie „zabić“ drogocenny czas, to niech go *zabija* ze szkodą własną, ale nie cudzą, a gdy postępuje inaczej, niech się nie dziwi, że okradani z tego skarbu kupcy okazują niecierpliwość, a nawet że go potraktują nie najgrzeczniej. Gdyby te odbywające pielgrzymki po sklepach damy zechciały np. chodzić do ubogich, aby im przynieść pomoc choćby skromną, lub pociechę w nieszczęściu, doznałyby zapewne żywszego i trwalszego zadowolenia, aniżeli z oglądania gałganków, i zamiast szkody przyniosłyby pożytek społeczeństwu.

Bardzo niewłaściwem jest też zarzucanie rzemieślnikom niesprawiedliwie nieudolności.

Ktoś powierza swój materyał krawcowej, czy modniarce, a kiedy mu pokazują obstalunek, wyszukuje plam na słońcu, choć wie dobrze, że wina leży po jego stronie, bo wybrał nieodpowiednią kombinacyę barw, dodatki, czy materyał.

Zdarza się, że je wprost w oczy posądzają o nieuczciwość.

— Alboż tu jest cztery łokcie wstążki! — woła dama, odbierająca zamówiony kapelusz, czy inną jaką część ubrania.

Zirytowana szwaczka, czy modniarka, chcąc przekonać klientkę o swej uczciwości, pruje kokardę, choć miałaby zupełne prawo powiedzieć nierozważnej kilka przykrych słów, i choć wie, że za robotę sprutą nikt jej nie zapłaci.

Nikt też nie poczytuje sobie za złe obstalować jakiś przedmiot i nie odebrać go wcale. Rzemieślnik nie śmie żądać zadatku, bo publiczność obraża się, a jeśli nie weźmie go— traci, albo czeka miesiącami. Czy to sumiennie?

Wogóle traktowanie z góry handlujących, a zwłaszcza subjektów i sklepowych, to przywara naszej publiczności.

Nie zapominajmy jednak, że wobec panujących warunków handel i przemysł daje sposób do utrzymania nietylko kupcom z powołania, ale jednostkom pochodzącym dość często z inteligencyi. Dziś nawet szlachta podupadła, urzędnicy, lekarze, inżynierowie i t. d., zmuszeni potrzebą, nie wahają się skierować swych dzieci na drogę handlu dawniej pogardzonego — że za lądą sklepową, obok córki skromnego rzemieślnika, albo wyrobnika, stoi nierzadko panienka z inteligentnego domu, która ukończyła pensyę i ciężko pracuje, byle tylko nie być w domu ciężarem dla rodziców, że pewnego dnia możemy się z nią spotkać w przyjacielskim domu, jako równy z równą. Usiłować zaś poniżyć kogoś dlatego tylko, że ów ktoś pracuje, jestto wydać sobie samemu świadectwo niepoczytalności umysłowej i moralnej.

Widzimy więc, że i publiczność grzeszy na wielu punktach względem sfer handlujących i żyjących z pracy rąk. Skoro więc chcemy, ażeby w sklepach obchodzono się z nami grzecznie, starajmy się postępować sami przyzwoicie, bo często wywołujemy dobrowolnie wybuch niecierpliwości.

Jedna i druga strona winna pamiętać o własnej i cudzej godności, a wtedy narzekania ucichną, a obcy przestaną nam zarzucać brak grzeczności, kultury etc.

O czem piszą.

W jednym z ostatnich numerów „Głosu“ podniesiono kwestyę sądów honorowych. Autor artykułu zaznaczywszy na wstępie, że złe popędy naszych bliźnich, ich zawiść, złośliwość, bezmyślność, zakłócają nam często spokój umysłu i rozwagę, sprowadzając rozgoryczenie, zdenerwowanie i niechęć do pracy, nawołuje społeczeństwo do organizacyi sądów honorowych, stałych. Sądy te stanowić winny podług niego organ społeczny, nietylko sądzący poważnione strony, nietylko wpływ wywierający na nieodpowiednie postępowanie niektórych jednostek, ale „powinny stawać się radą i podporą dla osobistości o charakterach słabych, dla umysłów niezrównoważonych, lub natur krewkich, bezmyślnych.“

Autor proponuje, aby każde stowarzyszenie, klub każdy starał się o wytworzenie w swem łonie stałej instytucyi rozjemczej, rozsądzającej spory, nie metodą dotychczas używaną przez sądy polubowne, które dążą zazwyczaj nie do rozjaśnienia sprawy, nie do wykazania po czyjej stronie słuszność, lecz do załagodzenia kłótni, do postawienia pewnego rodzaju ugody. Autor pragnie, aby sądy honorowe przez poważne, ścisłe, sprawiedliwe, wykonywanie swego zadania pozyskały zaufanie społeczeństwa.

„Pierwszą taką instytucyę sądu honorowego — kończy autor artykułu — powinna wprowadzić w swej Kasie najbardziej nerwowa brać dziennikarska, dalej lekarze, adwokaci, stowarzyszenia sportowe i t. d. Myśl jest bezwzględnie dobrą, ale i trudną do wprowadzenia w życie. Pierwszą trudność stanowi znalezienie arbitrów. Ze smutkiem przyznać trzeba, że nie mamy pośród siebie ludzi, którzyby całemu ogółowi imponowali nieskazitelnością i powagą swych imion—nie dlatego, by wśród nas nie było jednostek bezwzględnie czystych i prawych — o nie! ale właśnie z powodu owej bezmyślnej złośliwości ludzkiej, która nie cofnie się przed obryzganiem błotem najczystszych zamiarów, najlepszych chęci, najprawdziwszych zasług. Dawnemi czasy było podobno inaczej.

Dalej, czyż istnieje tak silny nakaz opinii publicznej, który zmusiłby każdego oszczercę, każdego złośliwca do poddania się władzy sądu honorowego?

To pierwsze wątpliwości, które nasuwać się muszą. Przewidywane trudności nie powinny zniechęcać jednak do podjęcia próby. Może istnienie takich sądów poskromiłoby brutalne nieraz napaści, na które ludzie silni odpowiadają pogardliwem ruszeniem ramion, ale które dla natur wrażliwych i miękkich bywają źródłem gorzkich, bolesnych przejść.

Przez długi czas pokutowała na szpaltach pism naszych i dotąd nie opuszcza ich jeszcze kwestya, którą najprościej jest nazwać — studencką.

Poruszył sprawę „Kuryer Warszawski“, zarzucając słuchaczom uniwersytetu, że nie wszyscy z pośród nich noszą godnie mundur akademicki, i że ogół niedosyć surowo jednostki takie traktuje.

Posypały się odpowiedzi i wyjaśnienia. Niema prawie pisma w Warszawie, któreby w sprawie tej nie zabierało głosu. Ostatecznie kwestya ta wygląda dziś mniej więcej w ten sposób. Jest w uniwersytecie grono młodzieży bogatej i hulającej — i do niej to stosowały się zarzuty „Kuryera.“ Grono to, prócz munduru, nie ma nic wspólnego z resztą słuchaczy uniwersytetu, którzy stosunków koleżeńskich i towarzyskich z paniczami tymi zrywać nie mogą, ponieważ takie zbliżenie faktycznie nie istniało nigdy między tymi dwoma odłamami młodzieży uniwersyteckiej.

W „Słowie“ ukazał się w tych dniach artykuł p. t. „O małżeństwach i posagach,“ artykuł napisany dziwnie, pełen sprzeczności.

W jednem miejscu czytamy np., że czasy sielanek pasterskich, czasy romantyzmu minęły bezpowrotnie, że pieniądz, *nervus rerum* dzisiejszych czasów, to oś, wokoło której wszystko się obraca, więc „nie trzeba się zbytnio dziwić, jeżeli tylu ludzi pragnie posiąść ów pieniądz na różne sposoby, z których nierzadkim zapewne jest bogaty ożenek;“ wszak tyle szlachetnych myśli, tyle talentów idzie na marne dla braku środków.

A dalej znów zapewnia autor, że „chociaż epoka romantyzmu minęła, echo owych czasów przebrzmiało jednak aż po dzień dzisiejszy, a piękne słowa poety „miej serce i patrzaj w serce“ pomimo ścisłych rachub, cyfr i obliczeń powinny się wplatać w każde nasze dzieło, każdy czyn, każdą pracę.“

Do takich niekonsekwencyj dochodzi się zawsze, ile razy ktoś przez jakąś dziwną chwiejność umysłu, czy przekonań, nie chce stanąć na wyraźnie określonem stanowisku.

Śród mnóstwa sprzeczności wyraźniej przebija jednak, że autor za godne potępienia uważa takie związki, których jedyną podstawą jest chęć zdobycia posagu, nie w celu zużytkowania go w jakiś, bądź co bądź, chwalebny sposób, lecz dlatego, aby módz próżnować i żyć zbytkownie na koszt żony. Tylko w tym ostatnim wypadku ma on odwagę łowcę posagowego nazwać właściwem imieniem.

Bardzo gorąco bierze w obronę tych, jak nazywa, najbiedniejszych, którzy „przykuci łańcuchem obowiązku do ojczystego zagona,“ nie mogą pozwolić sercu na dowolny wybór, lecz szukać muszą żony z posagiem dla ocalenia majątku od ruiny.

Za to najmniejszego nie ma pobłażania dla panien, które poświęcają się dla rodziców i aby im zapewnić „łyżkę strawy“ bez miłości wychodzą za ludzi bogatych.

Autor nie wierzy zupełnie w szczerość ich ofiary, i twierdzi, że właściwie chodzi tu tylko o zamienienie łyżki drewnianej na srebrną.

Nie rozumiemy doprawdy tej podwójnej miary w sądzeniu. Wszak ludzie, którzy pragną ocalić „ojczysty zagon“ od ruiny nietylko idealne względy mają na celu. Przecież im chodzi także o zachowanie społecznego swego stanowiska i o zachowanie majątku. Chcąc ocenić ile tam jest przywiązania do ojczystego zagona, należałoby zajrzeć w głębie dusz, tak samo, jak gdy mówimy o pannach, dla dobra rodziny zawierających bezmiłosne związki.

A jużciż, jeżeli kto z tych dwojga zasługuje raczej na litość, niż na potępienie, to chyba kobieta, jako słabsza i mniej przygotowana do życiowych walk, niż mężczyzna.

W ogólności mówiąc do ogółu o tych sprawach, należy kwestyę stawiać jasno, należy związek każdy oparty na rachubie traktować jako niemoralny i dla społeczeństwa szkodliwy; w wyjątkowych tylko wypadkach znaleźć dlań można jakieś okoliczności łagodzące. W najlepszym razie będzie to objaw słabości, braku odwagi i wiary w swoje siły.

JAK PTAK.

FRAGMENT.

Dziwne błyski palą się w jej oczach; bladą zwykle twarz powlókł żywy rumieniec... może to tylko odblask lampy czerwonym abażurem nakrytej, może łuna padająca od ponsowych portyer gabinetu... nie, nie... i ruchy jej mają dziś jakąś gibkość niezwykłą, są szybkie, nerwowe; robi wrażenie ptaka, który poczuł skrzydła, i rozwinąć je pragnie, i ulecieć.

Zauważyła to matka jej męża: kilka razy popatrzyła na nią badawczo; raz po raz zachodzi do gabinetu, zawsze pod jakimś pozorem, wreszcie pyta:

— Czy Stefcia nie chora? Taka rozgrzana?

— Nie, zdrowa jestem—odpowiada Stefania matowym głosem, i spuszcza powieki, zakończone długą, jedwabistą rzęsą, jakby się bała, żeby oczy same nie wypowiedziały prawdy, jakby zazdrosną była o tajemnicę ich blasku, o tajemnicę życia, które wezbraną rzeką kipi dziś w jej piersi.

Bierze książkę do ręki, siada w fotelu, i udaje, że czyta.

Matka wychodzi.

Dziś, dziś, za godzin parę...

Zrywa się, nie może usiedzieć spokojnie.

Za parę godzin rozwinie skrzydła, za parę godzin poczuje, że żyje!

Dreszcz ją przechodzi miły, od czasu do czasu serce bić zaczyna, niby młotem.

Tak, wyjdzie i nie wróci. Odleci cicho, jak ptak.

Tyle lat, tyle najpiękniejszych lat młodości zmarnowanych, straconych, przeżytych w męce!.. Ten wstręt, ten przymus i potem znów żal i litość i poddanie się nieme, czasem gniewne, czasem ideą ofiary wyegzaltowane!

Dosyć! Tak, dosyć już!

Żal ją ogarnia wielki, potężny.

Czemu, czemu ją żywą, młodą, piękną przykuli do tego człowieka, pół-trupa? Czemu? Była taka młodziutka, taka świeża, jak te pączki róż, które zrywali razem w pierwszym dniu poznania. Dzieckiem była.

Namawiała ją matka. Matkę kochała nad życie, wierzyła jej, ufała. Ojciec schorowany drżącym głosem prosił ją: Zrób to, dziecko, dla mego spokoju, zrób! niechaj bezpieczny o was umieram.

Z resztą, dlaczegóż wyjść za niego nie miała? W obecności tego człowieka doznawała zawsze dziwnego jakiegoś uczucia. Mieszał ją jego wzrok pożądliwy, bólem prawie przejmowało jego dotknięcie, zaciekawiała twarz blada, zmęczona.

Myślała, że to wszystko zowie się miłość.

Ach miłość! Dziś już wie, wie, czem jest ten płomień gorący, rozkoszny. Serce jej zalewa fala tkliwości niezmiernej, krew w skroniach pulsuje gwałtownie, usta rozchylają się uśmiechem, i z marzeń mgły białej wynika zwolna twarz ukochana...

Za chwilę! za chwilę obejmą ją *jego* ramiona, na *jego* piersi wypłacze cały żal za zmarnowaną młodością, za szczęściem w otchłań czasu rzuconem bezpowrotnie. Jak sen, raz jeszcze przesuną się przed jej pamięcią szeregi chwil rozpacznych, ciężkich, jak ołów, chwil nudy i zniechęcenia, szeregi nocy spędzonych przy łożu paralityka i dni szarych, jednostajnością swą zabójczych, dni bez wrażeń i wzruszeń serca, jałowych, strasznych, przeklętych dni! a potem wszystko, wszystko to utonie w morzu zapomnienia... światłość jasna rozednieje nad nimi, życie uśmiechnie się do nich, życie-szał, życie-pogoda, życie-wiosna!.. nie... wiosna jej, została tutaj, tu zwiędła, w cieniu tej mrocznej sypialni.

Wszak nieraz wyobrażała sobie, że widzi ją mglejącą, jak kwiat, w ciężkiej atmosferze tego domu... w oczach jej konała, chyliła się, a dokoła rozbrzmiewały jęki, skargi, miotały się przekleństwa, okrzyki cyniczne, wstrętne.

Jak ptak rozwinie skrzydła i odleci cicho!.. jak ptak!

Nikomu nie wyrządzi krzywdy, nikomu! Dawno już, dawno minęły uniesienia zmysłowe tego człowieka. Zobojętniał, wychłódł wpierw jeszcze, nim go dotknęła nieuleczalna choroba. Z niczyich rąk wprawdzie nie przyjmuje pokarmu i lekarstw — z jej tylko; jej dotknięcie łagodzi jego straszne cierpienia, jej spojrzenie uśmierza czasem napady jego wściekłości, i jeszcze niekiedy wpija się zwiędłemi usty w jej dłoń... ale to przyzwyczajenie tylko... Matka pielęgnować go będzie, matka, która zazdrości jej nocy spędzanych bezsennie, która nie cierpi jej za to dziwne, gorzkie przywiązanie, jakie okazuje żonie swojej jej syn. Ach dziwne! Przywykła już do słów brutalnych, do cynizmu gniewnych jego wyrażeń; współczującem sercem szukała dla nich wytłómaczenia w bólach duszy i ciała, w rozpaczy i beznadziejności.

Ale od pewnego czasu wydają jej się znów wstrętne i dzikie...

Ach, skrzydła rozwinąć!..

Z sąsiedniego pokoju dochodzi ją jęk:

— Stelko!

Drgnęła. Tak nazywał ją dawno, dawno, przed ślubem, gdy jeszcze razem zrywali pąki róż.

— Stelko!

Głos jego nie brzmi gniewnie, jak zazwyczaj; jest miękki jakiś i smutny.

Przychodzi jej nagle na myśl, że jutro, pojutrze i innych, następnych dni, jęk ten rozlegać się będzie, jak w tej chwili, tylko jeszcze boleśniejszy i cichszy, i nikt nań nie odpowie, nikt! — po pustych pokojach błąkać się będzie głos ten, i od ścian odbijać echem, i łkać w głuszy i pustce. Naraz żal jej się zrobiło tego głosu—spazm jakiś chwycił ją za gardło.

— Stelko, Stelko!

Zerwała się i pobiegła doń, jak zwykle.

Na tle poduszek rysuje się czaszka jego prawie pozbawiona włosów, wyżółkła i twarz znędzniała, strawiona długoletniem cierpieniem.

Przybiegła, i nachyliła się nad nim. Wziął ją za rękę.

— Jesteś—mówił zcicha.

— Jestem, jestem — odpowiedziała zmieszana.

— Wiesz, miałem dobry sen, chcę ci opowiedzieć, bardzo dobry sen... Śniło mi się, że już umarłem—zatrzymał się chwilę—zdaje mi się, że już umrę niedługo...

Z przerażeniem patrzyła na niego. Dlaczego on jej to mówi teraz, w tej chwili?

— Słuchaj, Stelko, ty byłaś bardzo, bardzo nieszczęśliwą... i przeze mnie...

Wymawiał z trudnością, coraz silniej ściskając jej rękę.

— Przebacz mi, już niedługo...

Gniew począł burzyć się w jej piersi.

Dlaczego on do niej mówi w ten sposób? dlaczego nie gniewa się, nie krzyczy? Wtedy wstałaby, i odeszła na zawsze. A tak, a tak ona nie będzie mogła uczynić tego, co postanowiła!.. Czy egoizm chorych jest tak wielki, że przeczuciem sięga w głębie dusz, i naprzeciw przyszłości wychodzi w pełnej zbroi?!.. Boże! Boże!

On dostrzegł w źrenicach jej błysk gniewu, i twarz mu się skurczyła boleścią; patrzy na nią takiem miłosiernem spojrzeniem, spojrzeniem bitego psa; usta jego powtarzają bezdźwięcznie: już niedługo, niedługo!

Ona wie, że to nieprawda. Lata, lata całe jeszcze wlec się będzie męczarnia tego istnienia, pół-życia pół-śmierci. Tak, jeszcze lata całe... a ona? Nie! konać z nim razem nie chce! Nie będzie! Tam czeka ją człowiek żywy, ukochany i świat daleki, pełen gwaru i pieśni i kwiatów... Zerwie się i odejdzie!

Boże, Boże!..

...Po twarzy tego nędzarza płynie łza wielka, zimna, straszna... ręka jego puszcza jej dłoń, ale usta szepcą: przebacz!..

Ona ruszyć się z miejsca nie może, odejść nie może, jakby skamieniała.

Uklękła przy łóżku, ukryła twarz w dłonie... przez rozchylone palce, jak grad szybkie, rzęsiste lecą łzy. Tam gdzieś, w oddali łka płaczem nieutulonym jej młodość i miłość, jej krótki, gorący sen... tam gdzieś w dali płacze jej szczęście, wieczystem płacze pożegnaniem...

Jak ptak rozwinie skrzydła, jak ptak odleci... ale już nie ku miłości i szczęściu! odleci kiedyś cicha ku wieczności białej krainie — jak ptak...

Helena Ceysinger.

SIENKIEWICZ.

przez Józefata Nowińskiego.

(Dalszy ciąg).

Dobry jest Kowalski, godny i wierny małżonek swej żony, sam stworzony tylko do roli— szabli w cudzych rękach — uosobienie posłuszeństwa i uporu, głupoty i fantazyi kawalerskiej. I ze swojemi skargami po ujściu „Wuja”, z przejściem pod komendę Wołodyjowskiego, ze łzami po tryumfie nad królem szwedzkim—jest on (jak się to zwykle dzieje w nie do pojęcia harmonijnej wyobraźni Sienkiewicza), jest on nietylko skończoną w sobie całością, lecz też i niezbędną częścią całości, i służy do charakterystyki Zagłoby.

Charłamp, to dobre, proste, kochliwe, a kłótliwe żołnierzysko z dużym, czerwonym nosem—to objawienie artystyczne. Zdobywa się on tylko na ślepe posłuszeństwo żołnierskie względem zwierzchnika, gdy jego koledzy, pułkownicy ciskają zdrajcy buławy pod nogi; potem — sam jeden może—służy temu zdrajcy nie dla promocyi, nakazując milczenie w imię subordynacyi sercu pełnemu życzliwości i czci dla zdradzonego króla i przy nim stojących, dawnych przyjaciół; i sam jeden aż do końca pozostaje przy zdrajcy - zwierzchniku, przez wszystkich opuszczonym, zwyciężonym, upokorzonym i—głodnym.

Myślę, że dle zrozumienia takich dusz—trzeba mieć nietylko intuicyę psychologa-artysty, ale jakieś ogromnie dobre serce człowieka. Ten Charłamp, co z przymusem służy najpotężniejszemu jeszcze panu, wspominając mimowoli, ku zgorszeniu jego dworu, Jana Kazimierza, jako „miłościwie panującego króla,“ przywiązuje się do najnieszczęśliwszego nę-

dznika; ile tylko może zmieścić współczucia jego dusza, tyle jej czujemy w owej scenie, potwornie groźnej, konania Januszowego. W uldze dusznej, jakiej, daleki od pamięci na własny swój głód i nędzę Charłamp, doznaje na ostatni wyraz zdrajcy-heretyka: „Maryo!“ jest jakaś, aż za grób sięgająca, wierność żołnierza dla wodza, jakaś litość człowieka dla człowieka-nieszczęśnika, co przypomina aż miłość matki dla zbłąkanego dziecka. W chwili wejścia królewskich do komnaty książęcej, Charłamp—ten głupi, stary i prosty żołnierz—jest bohaterem, nakazującym cześć na równi ze śmiercią.

Miałżebym znów na intencyę „Potopu“ zaczynać litanię obrazów i scen wspaniałych? Byłaby ona nie krótsza, niż dla „Ogniem i mieczem.“ Słowo Sienkiewicza, proste, jak rylec, lub pędzel rzeźki i malujący wszędzie z równą wyrazistością.

Powiadają, że w scenach wojennych autor się powtarza. Podejrzewam, że naprawdę zdawać się tak może ludziom, co nietylko wojny nie widzieli oczyma, ale których nawet wyobraźni temperament wcale nie zachęcał do przyjrzenia się jej duchowi w dziełach sztuki, czy też w historyi. Niejeden Wenecyanin zakamieniały gotów byłby Pana Boga pomówić o powtarzanie się w tworzeniu koni, kiedy pastuch węgierski w każdym gotówby się duszy indywidualnej dopatrzeć.

Znam się na wojnie tyle, co byle który inny z niepowołanych, ale mniemających, że są powołani, krytyków, domyślam się jednak, że tam, gdzie znawca odróżni cięcie od cięcia, tam profan nie odróżni bitwy od bitwy. Zdaje mi się prócz tego, że w bitwach wojsk regularnych z „Potopu“ widzę wyraźniej ruchy wojsk, a mniej czuję chaos w ogromie grozy i piekle zgiełku. Ale wiem, że impet ataków tak samo dech mi zapiera. To też dla mnie pogrom Kannenberga, lub bitwa pod Prostkami—to arcydzieła, o których zupełnej oryginalności nie wątpię.

Przed opisem bitwy pod Warką nigdy żaden własny mój nastrój ostać się nie może: to szał, upojenie. Nie znam nic bardziej obozowego i porywającego od owego momentu przełomowego. „Nagle Czarniecki pojawił się jak piorun przed frontem chorągwi (nikt nie wiedział dlaczego zwróconym ku wezbranej rzece). Ogień miał w licach, piorun w oczach. Wiatr silny podnosił mu burkę na ramionach nakształt potężnych skrzydeł, koń pod nim skakał i wspinał się, *wyrzucając płomień z nozdrzy*, on zaś szablę puścił na temblak, czapkę zerwał z głowy, i ze zjeżoną czupryną, z potem na czole, krzyknął do swej dywizyi:

— Mości panowie! Rzeką się nieprzyjaciel zastawił i drwi z nas! Morze przepłynął na pognębienie nam ojczyzny, a myśli, że my w jej obronie rzeki nie przepłyniem!

Tu czapkę cisnął o ziemię, a chwyciwszy szablę wskazał nią wezbrane wody. Uniesienie go porwało, bo aż wstał w kulbace, i jeszcze potężniej zakrzyknął:

— Komu Bóg! komu wiara! komu ojczyzna miła! za mną!

I ścisnąwszy konia ostrogami, tak, iż rumak jakoby w powietrze wyskoczył, rzucił się w wodę.“

Pobojowisko pod Warką—to też arcydzieło nie mniejsze.

Oblężenie Częstochowy, to jest coś od początku do końca tak obrazowego, wzniosłego, cudnego, że poprostu nie śmiem mówić o tem. Ze wszystkich zarzutów, jakie za nie Sienkiewiczowi czyniono, jeden tylko nie zdał mi się śmiesznym: że Jasną Górę ratuje w „Potopie“ trochę za dużo Kmicic i szlachta, a trochę za mało chłopi, co zgodnie z pamiętnikiem Kordeckiego, inaczej nieco możnaby było przedstawić. Na zarzut zaś np., że Kordecki za mało jest Skargą, zaledwo warto odpowiedzieć, iż autorowi chodzićby mogło prędzej o to, żeby on był *sobą*. Czyż wreszcie brak natchnienia słowom, któremi Kordecki uspokaja księży i tłum co do, grożącego jakoby, wysadzenia kościoła? A co najważniejsze, a nieporównanie szczytne, to to, że w tym dobrotliwym, łagodnym, a pobożnym mnichu, o pokorze męczeńskiej, a wierze apostolskiej, *czujemy* tu prawdziwego obrońcę Jasnej Góry. Piękne są same przez się dusze w ciałach rycerzy Przenajświętszej Panienki, ale względem nich ów mnich jest naprawdę czemś tak boskiem, że te dusze zdają się materyą przy jego duchu. Gdyby się w tej fortecy klasztornej znalazło stu Kmiciców, którzyby porozsadzali wszystkie działa i wszystkich generałów szwedzkich w dodatku — wielkość Kordeckiego nie zdałaby się ani o włos mniejszą, pozostając zawsze niewymiernie większą od wszelkiej innej, tak właśnie jak największe bohaterstwo głowy i ręki nic duszy nie ujmie.

Czemże, zapytam znów, jest wobec tego wszystkiego nieprawdopodobieństwo psychologiczne alluzyi Wrzeszczowicza w pierwszej rozmowie z Kmicicem co do projektów na Jasną Górę? Chyba tem samem, czem nieprawdopodobieństwo *wąsatych* pocałunków *na ostrym wietrze i mrozie*—czyli błahostką, która zarówno, jak wszystkie inne podobne znika poprostu z myśli i wrażenia wobec tych chociażby tylko piękności, które w dziele tem stosunkowo trzeciorzędnemi się zdają.

Z niezliczonej ilości cudnych scen pozwolę sobie wspomnieć o jednej jeszcze, która, niezależnie nawet od swojej nadnaturalnej siły uderza jakąś nagłością niespodziewaną, jakąś fantastycznością w realizmie, mistyczną grozą w naturalnej niby—jak same słowa autora—rzeczywistości. Myślę o wizycie Kmicica w domu starosty Sochaczewskiego, w kilkudziesięciu wierszach tu takiego wyraźnego, że całą powieść, któraby mi go z równą siłą i pięknością przedstawiła, genialnąbym nazwał.

„Słońce zachodziło właśnie i już tylko bokiem zaglądając do komnaty, łamało się w tęcze na gomółkach szklanych, w ołów oprawnych, i czyniło smugi siedmiobarwne na podłodze. Reszta komnaty była w mroku. Kmicicowi coraz bardziej stawało się straszno, i chwilami zdawało mu się, że niech tylko światło ono zginie, a wnet trębacze anielscy ozwą się na sąd.“

— O jakich proroctwach wasza mość mówisz?—spytał wreszcie starostę, bo milczenie wydawało mu się jeszcze straszniejsze. Starosta zamiast odpowiedzieć, zwrócił się ku drzwiom przyległej komnaty i zawołał:

— Oleńka! Oleńka!

— Na Boga!—krzyknął pan Kmicic — kogo waść wołasz?..

W tej chwili wierzył we wszystko, wierzył, że jego Oleńka, cudem z Kiejdan przeniesiona, ukaże się jego oczom. I zapomniał o wszystkiem, wzrok utkwił we drzwiach, i czekał bez tchu w piersi. Drzwi się otworzyły; weszła nie Bilewiczówna, ale panna piękna, szczupła, wysoka, trochę do Oleńki podobna z powagi w twarzy i spokoju rozlanego w obliczu. Była blada, może chora, a może niedawnym napadem przerażona, i szła z oczyma spuszczonemi, tak jakoś lekko i cicho, jak gdyby ją jaki powiew posuwał.“

I dalej nastrój potęguje się, aż wreszcie Kmicic zdesperowany ostatecznie wieścią o nowem nieszczęściu zrywa się, żegna ze wszystkimi, i wychodzi, a za nim, w zastępstwie ojca, panna, chcąc mu powierzyć dukat na mszę, „na intencyę grzesznego Andrzeja, aby go Bóg z grzesznej drogi nawrócił...“

„Kmicic cofnął się dwa kroki, oczy wytrzeszczył ze zdumienia, i przez chwilę nic przemówić nie mógł.“

— Na rany Chrystusa! — rzekł wreszcie — co to za dom? Gdzie ja jestem?.. same proroctwa, wróżby, wskazówki... Waćpanna zwiesz się Oleńka, i na intencyę grzesznego Andrzeja na mszę dajesz?.. To nie może być prosty trafunek, to palec Boży... to... to... jać oszaleję... Na Boga, oszaleję!..

— Co waćpanu jest?

„Lecz on chwycił ją gwałtownie za ręce i począł niemi potrząsać:“

— Prorokujże mi dalej, mów do końca!. Jeżeli ów Andrzej się nawróci i winy zmaże, zali Oleńka jemu wiary dochowa? Mów, odpowiadaj, bo nie odjadę bez tego!..

— Co waćpanu jest?

— Zali Oleńka mu wiary dochowa?

Pannie nagle łzy puściły się z oczu.

— Do ostatniego tchnienia, do godziny śmierci!—odrzekła ze łkaniem.

Jeszcze nie dopowiedziała, a już pan Kmicić grzmotnął się jak długi jej do nóg. Chciała uciekać, nie puścił, i całując jej stopy powtarzał:

— Jam także grzeszny Andrzej, który nawrócić się pragnie... Ja mam także swoją Oleńkę umiłowaną. Niechże twój się nawróci, a moja mi wiary dochowa... Niech słowa twoje proroctwem będą. Balsam i nadzieję wlałaś mi do duszy strapionej... Bóg ci zapłać, Bóg zapłać!

Poczem zerwał się, siadł na koń i odjechał.“

Dlaczego ja, taki zawsze skąpy w cytaty, wypisuję tu całą kartkę? Dlatego, żem scenę tę czytał dwadzieścia razy częściej, niż „Potop“ cały, a nigdy nie czytałem bez jeżenia się włosów na głowie, bez łez Kmicicowych, bez rzucenia się wraz z tym szaleńcem do nóg, łkającej po swym grzesznym Andrzeju panny. To wszystko przeszkadzało nawet w tej chwili krytykowi w pisaniu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Dnia 26 b. m. w Kościele św. Krzyża odbędzie się uroczyste nabożeństwo i odsłonięcie pomnika, poświęconego pamięci Juliusza Słowackiego.

Pomnik składa się z marmurowej tablicy i portretu wielkiego poety, wykonanego na blasze miedzianej przez artystę-malarza Bronisława Wiśniewskiego, który przy pracy posiłkował się zbiorami Leopolda Meyeta. Fundusz na pomnik zebrany został staraniem p. Haliny z Belinów-Leszczyńskich Tokarzewskiej. Słowa uznania należą się tym, którzy cześć wieszczów w żywej wciąż utrzymują pamięci.

Ś. p. ks. Engel.

W Solcu, na Górnym Śląsku zmarł niedawno ks. Robert Engel, jeden z przywódców i opiekunów ludu ślązkiego. „Dziennik ślązki" omawiając zgon jego, kończy wspomnienie słowami: „Zaiste lud cały ma czego żałować i płakać, bo ks Engla śmiało nazwać można było przewodnikiem nietylko swej parafii, ale całego Ślązka, o ile jest polski. Siły swoje poświęcał on niepodzielnie dla dobra ludu, a ze skarbów szacownych swego ducha dawał temu ludowi dary w ślicznej oprawie, bo szczególnie pięknie władał językiem polskim w mowie i piśmie.

Popularność Sienkiewicza.

„Kuryer Warszawski" podaje wyjątek z prywatnego listu osoby, podróżującej po Włoszech. Czytamy tam:

„Kto nie przekonał się o tem naocznie, nie może sobie wyobrazić, jak dalece Sienkiewicz popularny jest we Włoszech. W Wenecyi, Florencyi i w Rzymie widziałem powieści jego, nietylko w oknach księgarskich, których obecnie Sienkiewicz jest ozdobą i główną przynętą, lecz nawet w sklepikach spożywczych i w sprzedaży ulicznej.

„Quo vadis" jest teraz najpopularniejszym utworem literackim we Włoszech. Powiadają, że rozkupiono już tej powieści około 400,000 egzemplarzy, a świeżo wyszło w Neapolu nowe jej wydanie, illustrowane, które kosztuje 60 centymów!

Żaden pisarz włoski, nawet Manzoni, nie miał we Włoszech takiego powodzenia i takiego rozgłosu w salonach i wśród ulicznych sfer ludowych.

Wczoraj, zwiedzając kościół św. Piotra, przy grobie tego apostoła usłyszałem nazwisko Sienkiewicza i to w jakich warunkach! Wyobraźcie sobie moje wzruszenie, kiedy mój „cicerone," Włoch, człowiek prosty, nie wiedzący zgoła, że jestem polakiem, rzekł, wskazując na grób św. Piotra: „To jest właśnie owo miejsce, które tak pięknie opisał sławny poeta polski, Sienkiewicz: w niezrównanem dziele swojem „Quo vadis."

Gdybyż to był słyszał Sienkiewicz, Miałby sobie pewno te proste słowa wypowiedziane w takiem miejscu za jeden z najmilszych hołdów jubileuszowych."

Pogrzeb Odrzywolskiego.

W Schodnicy odbył się uroczysty pogrzeb ś. p. Kazimierza Odrzywolskiego, zmarłego, jak wiadomo, tego samego dnia, co przyjaciel i mistrz jego, Szczepanowski.

Tragiczne rzeczywiście były losy tych ludzi. Jak zapewniają ci, co znali ich zblizka, jedynie chęć przyłożenia się do dobra ogólnego, pragnienie ulżenia słynnej nędzy galicyjskiej, którą w wymowne cyfry ujął był Szczepanowski — kierowały ich czynami.

Z niezużytkowanych, olbrzymich bogactw ziemnych Galicyi wydobyć miliony, dać zarobek ginącym z tyfusu głodowego nędzarzom, podnieść ekonomiczny stan kraju całego — oto główny cel ich zabiegów i usiłowań, pracy nad siły, nad możność.

I oto ci idealiści-przemysłowcy, dzięki ekonomicznemu zastojowi prowincyi, w której działali, dzięki nieuczciwości jednostek, stojących na czele ważnej instytucyi finansowej, zaplątani zostali w ohydny, skandaliczny proces.

Imiona ich tarzano po szpaltach wszystkich pism, obrzucano błotem i śliną. Jakkolwiek sąd uznał niewinność Szczepanowskiego, wyszedł on ze sprawy tej złamanym na zawsze.

Dziś, gdy ucichły niechęci, nad mogiłami ich unoszą się słowa żalu, nawet uwielbienia i czci.

W dzień pogrzebu Odrzywolskiego Schodnica okryła się kirem, domy postrojono chorągwiami żałobnemi; prócz ludności wzięło w pogrzebie udział kilkaset osób przybyłych z różnych stron kraju. Sami przedstawiciele instytucyj publicznych, które nieboszczyk stworzył, lub rozwinął, stanowili znaczną część orszaku pogrzebowego. A dalej szli właściciele kopalń, polacy i cudzoziemcy, inżynierowie, urzędnicy i całe rzesze robotniczego ludu. U trumny Odrzywolskiego dopiero oceniono, ile zawdzięcza mu Schodnica, ów pięknie zagospodarowany, kwitnący dobrobytem i oświatą kawał biednej ziemi galicyjskiej.

Na medycynę.

Na skutek prawa o dopuszczaniu kobiet do studyów lekarskich, na uniwersytetach austryackich zapisało się na wydział medyczny we Lwowie pięć kobiet w charakterze słuchaczek zwyczajnych.

Na sanatoryum.

Na ręce d-ra Dunina złożono bezimiennie 10,000 rubli na sanatoryum dla suchotników.

Ze spraw kobiecych.

Grono kobiet poświęcających się malarstwu wniosło na ręce p. Fałata, dyrektora krakowskiej akademii sztuk pięknych petycyę o dopuszczenie ich do studyów w akademii. P. Fałat oświadczył deputacyi pań, że poczyni wszelkie starania, aby życzeniu ich zadosyćuczynić,

Kuchnie ruchome w Łodzi.

Łódź naśladując dobry przykład Warszawy zamierza urządzić u siebie kuchnie ruchome. Zarząd miejski odbywa już w tej sprawie narady.

Odczyty.

Rada Tow. hygienicznego otrzymała kilka odezw z miast prowincyonalnych w Królestwie, z prośbą o powtórzenie w tych miastach seryi odczytów, zorganizowanych w Warszawie. Z podobną prośbą wystąpił zarząd Tow. kolonii letnich, proponując powtórzenie całej seryi z przeznaczeniem dochodu na rzecz tej instytucyi. Rada postanowiła dać odpowiedź przychylną, i powierzyła sprawę organizacyi odczytów komisyi złożonej z dr. Nusbauma, ks. Gralewskiego i dr. Chełchowskiego.

Wystawa kart pocztowych.

Na dochód Towarzystwa Dobroczynności odbędzie się w sali ratuszowej wystawa kart pocztowych z autografami znakomitych ludzi. Podobno nadesłano już z górą 300,000 kart.

Przedstawienie teatralne w Cieszynie.

Na zaproszenie komitetu budowy Domu Polskiego w Cieszynie zjedzie tamże, w połowie stycznia teatr krakowski, i da przedstawienie inauguracyjne w teatrze, świeżo przy „Domu" wybudowanym.

S. p. Stanisław Schnür-Pepłowski.

Dnia 13 listopada zmarł we Lwowie historyk, Stanisław Schnür-Pepłowski. Urodził się we Lwowie 1859 r. Porzuciwszy karyerę urzędniczą, która umysłowi jego nie dawała dostatecznego zadowolenia, oddał się dziennikarstwu i studyom historycznym. Interesowała go głównie ostatnia epoka dziejów. Liczne jego prace, jak „Wspomnienia z przeszłości Galicyi," „Krwawa karta" (historya wypadków 46 r.), „Dzieje legionów" napisane w sposób zajmujący, przystępny i źródłowy, zjednały mu zasłużony rozgłos i wziętość.

Wieść o jego zgonie wywołała szczery żal wśród inteligencyi polskiej, Natężona praca i choroba serca położyły kres pożytecznemu jego życiu.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do Redakcyi „Tygodnika Mód i Powieści."

Anatol France: „Clio." Przekład St. Popowskiego.

Wanda Żeleńska: „Horoskop, pamiętnik ze skarbca poezyi polskiej,"

H. Orlicz Garlikowska: „Z pamiętników młodego małżeństwa."

Jadwiga Chrząszczewska i Jadwiga Warnkówna: „Z biegiem Wisły."

Wskazówki i rady.

Lody na gorąco.

Zupełnie nieznaną legominą są lody, podane na gorąco—a jednak jest to możliwe. Mieć w puszce, w kuble z lodem gotowe lody. Porcelanowy półmisek wyłożyć serwetą, na nią ułożyć biszkopciki zwyczajne, formując okrągłą podstawę. Na puszkę lodów, którą można stojąco lub podłużnie położyć, ale wtedy musi być i półmisek i podstawa podłużne, wziąć 4 białka, które albo ubić, jak na marengi z cukrem, lub ubite sparzyć gorącym, bardzo gęstym syropem, biorąc na to ćwierć funta cukru, wymieszać pianę zaparzoną, i bardzo szybko położywszy lody na półmisku, polać je pianą. Wstawić w tej chwili na górną kondygnacyę pieca, tak, aby tylko z góry ciepło wzięło. Po trzech minutach marenga się zrumieni, polać arakiem, zapalić i podać do stołu. Na szybkiem działaniu polega całe udanie się legominy.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

TREŚĆ: Andrzej Niemojewski: Scena z dramatu „Rokita." — Władysław Umiński: Na szczytach, powieść współczesna (dalszy ciąg). — Program jubileuszu Sienkiewicza. — Więcej sumienności. — O czem piszą. — Jak ptak, fragment. — Sienkiewicz, przez Józefata Nowińskiego (dalszy ciąg). — Kronika. — Nowe książki. — Wskazówki i rady. — Ogłoszenia. — W dodatku powieściowym. Ellen Thorneycroft Fowler: Podwójna Nić, powieść, przekład z angielskiego M. G. (dokończenie).

Wydawnictwa rok XXV-y.

BIESIADA

LITERACKA ILLUSTROWANA.

DLA RODZIN POLSKICH.

Redaktor Władysław Maleszewski.

W Warszawie rocznie: **5 rs.** z dodatkiem rb. 6.50.

Z przesyłką rocznie **6 rs.** z dodatkiem rb. 8.

Powieści, utwory dramatyczne, poezye, podróże, sztuki piękne, wiadomości z literatury, biografii, pedagogii, rolnictwa, handlu, chwili bieżącej, polityki, z naszych miast i wsi, z zagranicy. Historya polska i powszechna. Rebusy, szarady i t. p. rozrywki. Liczne illustracye dotyczące wypadków w kraju i zagranicą. Kopie obrazów, rzeźb, krajobrazów, pomników, portretów, zabytków przeszłości. Spółpracownictwo znanych i pierwszorzędnych literatów i artystów. **Henryk Sienkiewicz** przyrzekł powieść historyczną. **Premia na rok 1900:** Portret kolorowy z cyklu portretów **Królów Polskich,** Portret kolorowy **Henryka Sienkiewicza, „Herbarz jubileuszowy," „Przewodnik chronologiczny do dziejów Polskich,"** illustrowane **„Pamiętniki Paska."**

Prenumeratorowie mają prawo wyboru między premiami za rok 1900 a z lat poprzednich, bardzo licznych i cennych.

DODATEK DO BIESIADY OBEJMUJE:

Wybór powieści społecznych i historycznych, oryginalnych i z literatur obcych.

Prenumeratę nadsyłać można rocznie, półrocznie, kwartalnie. Prospekt i numer okazowy wysyła się na żądanie bezpłatnie.

Adres: Biesiada Literacka, Warszawa, Chmielna 26.

SIENKIEWICZA

PORTRET KOLOROWY

do nabycia

we wszystkich księgarniach

po **Rb.1.50.**

Nadsyłający należność wprost do Administracyi „Tygodnika Mód i Powieści," w WARSZAWIE

2147 Chmielna 26

nie ponoszą kosztów przesyłki.

Pracownia Kuśmierska

H. Ozierow

długoletniej współpracowniczki w-go Sorokoumowskiego. Świętokrzyzka 5, przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres kuśmierstwa wchodzące po cenach umiarkowanych.

KĄPIELE

24. Nowy Świat 24.

Wanny porcelanowe i niklowe

Ceny od 35—50 kop.

GRONKIEWICZ Telefonu 1758. Kaucyonowane Biuro Rekomendacyjne Załatwia wszelkie czynności w zakres biura wchodzące. **DZIAŁ DAMSKI** prowadzony bardzo starannie. **Królewska № 6 róg placu Saskiego.**

Odznaczona na wystawie hygienicznej i innych

Cykorya Świdniki „Gloria"

we wszystkich sklepach kolonialnych. 2177



AKCYJNE TOWARZYSTWO

Fabryki Mebli Wiedeńskich

JAKÓBA i JÓZEFA KOHN

Warszawa, Plac-Teatralny № 11.

Poleca

wielki wybór najgustowniejszych i najelegantszych mebli wiedeńskich,

mianowicie:

MEBLE ZWYCZAJNE, MEBLE FANTAZYJNE, MEBLE BUDUAROWE, MEBLE GABINETOWE, MEBLE SALONOWE i t. p. **wyplatane, wypalane, imitacya skóry w różnych kolorach i deseniach, kryte materyą, skórą, pluszem** i t. p.

Pierwsze źródło tej branży.

CENY PRZYSTĘPNE. 2

Oryginalne **FONOGRAFY** Edisona

Grafofony i Gramofony

po zniżonej cenie.

oraz wielki wybór oryginalnych cylindrów i płyt

jako też najlepsze

MASZYNY DO PISANIA



z widocznem pismem

„Underwood," „Hammond" i inne

POLECA **Magazyn Optyczny**

G. GERLACHA

w Warszawie (Czysta 4)

Cenniki bezpłatnie 2125

„Moskiewski Magazyn"

Marszałkowska 141.

Na nadchodzący sezon poleca *w wielkim wyborze różne Materye jedwabne po cenach fabrycznych.*

SKŁAD TOWARÓW ŻELAZNYCH



Naczyń kuchennych

Wyżymaczek Amerykańskich

2148 **Bań do mleka**

Czesława Willmana

Marszałkowska 107 (róg Chmielnej).

SKŁAD PŁÓTNA I POŚCIELI

L. Straus ***Nowy Swiat Nr. 7.***

poleca **Kołdry** watowe własnego wyrobu, wełniane i bajowe. **Barchany** kolorowe, fianele i flanelety na suknie w dużym wyborze. Ceny niskie, stałe.

SZKOŁA KROJU i SZYCIA

STEFANII KUNCZYŃSKIEJ

oraz pracownia sukien „Pelagii"

Żérawia Nr. 1, m. 9,

za pomocą przystępnych w 4-ch językach wykładów wyucza w bardzo krótkim czasie kroju i szycia. Tamże przyjmują się do roboty suknie i okrycia damskie, wykonywane podług najnowszych modeli. 2012

Kwiaty sztuczne

do koszów i żardinier w wielkim wyborze poleca

Jan Bohuszewicz

Złota 38.

Ceny fabryczne.

Zamówienia na prowincyę wysyłam za zaliczeniem pocztowem.

GORSETY

JEANNOT

Miodowa 4.

Tkane i szyte. Wybór hygienicznych, trykotowych i specyalnie do bluzek, szlafroczków i matynek. Obstalunki z własnych i powierzonych materyałów wykonywa szybko tanio i akuratnie.

4. Miodowa 4.

Jeannot daw. ***Jean Bernhardt***

Egzystuje od 1843 r.

Po długoletniej pracy u W-nej Marczewskiej otworzyłam Pracownię Kapeluszy Damskich przy ul. **Szpitalnej Nr. 6**, pod firmą ***„Romana."***

Warszawskie Towarzystwo Akcyjne Handlu Towarami Aptecznemi

dawniej

Zjednoczeni Aptekarze i Ludwik Spiess i Syn

Zarząd i Składy Główne ul. Senatorska Nr. 24.

Filje: w Warszawie: Plac Teatralny, ul. Marszałkowska 140; w Łodzi ul. Piotrkowska 11.

polecają:

Świeżą oliwę nicejską.
Galatyny.
Farby olejne.
Octy francuzkie i inne.
Farbki do bielizny.
Lakiery spirytusowe.
Perfumy.
Proszek na owady.
Lakiery kopalcowe.
Mydła.

2198

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Ноября 1900 г. Redaktor **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Wydawnictwo i druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.